

Bogdan Banasiak

*Sade – encore une effort*

[tekst ten, będący odpowiedzią na publikację Marka Jastrzębca-Mosakowskiego, *Sade i Sollers, czyli nieszczęścia fikcji*, „Odra” 2000, nr 1, s. 88-92, nie ukazał się drukiem, gdyż redakcja „Odry” zrezygnowała z udostępniania swych łamów dla dalszej polemiki]

Na wstępie krótka uwaga: nie mam specjalnie usposobienia polemisty i nie zwykłem rzucać się bez opamiętania w wir dyskusji. Jeśli zaś w intencji polemicznej zabieram głos (i to ponownie), to motywacją moją niech będzie (złudna skądinąd) nadzieja przywołania ducha polemik prasowych z początku wieku oraz zamiar wyjaśnienia kilku kwestii, które Marek Jastrzębiec-Mosakowski zaciemnia (twierdząc zresztą, iż jest na odwrót) lub ukazuje w cokolwiek dziwnym świetle.

Otóż jego tekst o „liście Sade” czytałem w głębokim przeświadczeniu, że chodzi o żart. Zdziwiło mnie jednak to, że żartownego tonu w nim nie znalazłem. Zakładając zaś, że może to właśnie ja zbyt poważnie (jak zresztą sugeruje Jastrzębiec-Mosakowski w tekście polemicznym) do rzeczy podchodzę, oddałem się ponownej lekturze, tym razem już wprost, a nawet usilnie owej żartowności się dopatrując. Bezskutecznie. Podsunąłem zatem tekst kilku osobom (zresztą bez komentarzy wstępnych), które – co stwierdzam bez satysfakcji – także dowcipu nie dostrzegły. Odpowiedź mego adwersarza rzecz mi jednak wyjaśnia: wyposażony we francuską lekkość, jaką sam sobie przypisał, Jastrzębiec-Mosakowski tak dalece swój żart wysubtelnił, że wyłącznie on ów żart zrozumiał. Mnie zaś się nie udało, bo zdaniem adwersarza, dotknięty niemiecką ociężałością, nie mam po prostu poczucia humoru. Choć więc podobnie jak on nie lubię sięgać po argumenty *ad personam*, to muszę stwierdzić, że niezbyt mnie przekonuje poczucie humoru tych, którzy opowiadają dowcip i sami – w odróżnieniu od towarzystwa – zaśmiewają się do rozpuku. Cóż jednak po mojej – zdaniem adwersarza – mieszczańskiej chęci rozumienia, gdy on – we własnym mniemaniu – sięga wyżyn arystokratycznego *esprit*. Dobry żart tynfa wart.

Co zaś się tyczy kilku kwestii szczegółowych, to pokrótce, by nie zanudzić czytelnika.

Memu adwersarzowi bynajmniej nie odmawiam – jak uznaje on – „prawa do głosu na tekstem Sollersa” ani jakimkolwiek innym tekstem (ba, nikomu nie odmawiam niezbywalnego prawa do zabrania głosu w dowolnej sprawie). Twierdę natomiast, że – zważywszy na nazbyt wyszukany dowcip – tekst Jastrzębca-Mosakowskiego po prostu wprowadzał w błąd: czytelnik, który by nie wiedział, że autorem „listu” jest Sollers, nie zaś Sade, ujawniane poglądy mógłby przypisać wprost Markizowi (czego przykład stanowi przywołana przeze mnie w tekście polemicznym recenzja z „Gazety Wyborczej”); w przypadku zaś posiadania takiej wiedzy, miałyby pełne prawo uznać, że to autor tekstu dał się zwieść mistyfikacji Sollersa. Mówiąc najkrócej, pozwoliłem sobie na wystąpienie polemiczne dlatego, że tak czy owak tekst Jastrzębca-Mosakowskiego przyczynia się do powiększania sumy nieporozumień związanych z Sade`em, postacią, wokół której nieporozumień narosło nazbyt wiele.

Wbrew deklaracji mego adwersarza, iż nie lubi on „stosować retoryki *ad hominem*”, z lektury jego tekstu skłonny jestem wnosić coś przeciwnego. Nie sądzę bowiem, by jego zachęta, ażebym zajął się „weryfikacją”, „skrupulatnie i z całą naukową powagą” dziedziny „czystego gdybania”, miała charakter dyskusji merytorycznej ani nawet była w dobrym, polemicznym tonie. Mój adwersarza tak daleko posunął się w swym arystokratyzmie, że zapomniał bodaj, iż *noblesse oblige*.

Gdzie indziej z kolei mój adwersarz mówi o mej „niekwestionowanej wiedzy” w przedmiocie Markiza de Sade, zastrzegając się, że akurat w tym miejscu sobie nie dworuje. Trudno mi jednak uwierzyć w tę deklarację intencji, gdyż nieco dalej twierdzi on, iż czuję się „niemal z urzędu ostatnią, tą najważniejszą instancją w sprawie wszystkich nieporozumień związanych z Sade`em” (pomijam już inne, równie eleganckie jego wycieczki po moim adresem). Zapewne zdziwi to mego adwersarza, ale zrozumiałem jego ironię: może po prostu na ironię (w obu znaczeniach) jestem bardziej wyczulony. Cóż, widać świat się zmienia, bo „za moich czasów” kompetencja była zaletą, przykro mi zatem, że tyle mam wad. Nikt jednak nie jest doskonały. Zresztą w moim przeświadczeniu żadna lekkość (nawet francuska) kompetencji nie zastąpi. I niech mi wolno będzie pozostać przy tym zdaniu.

Jestem wdzięczny memu adwersarzowi, iż uświadomił mi, że *androgynie* to złożenie pierwiastka męskiego i żeńskiego, ja bowiem błędnie sądziłem, że jest na

odwrót. Jak już jednak wspomniałem, nikt nie jest doskonały. A poza tym w mej odpowiedzi próbowałem tylko podkreślić – na co zresztą zwraca uwagę większość komentatorów Sade'a (przy okazji przepraszam, że powołuję się na badaczy cechujących się niemiłe widzianą kompetencją) – że właśnie Julietta, a nie żaden z mężczyzn ucieleśnia moralność apatii, niejako zwornik teorii libertynizmu Sade'a, i że to ona (kobieta) jest centralną postacią i dzieła, i filozofii Sade'a.

Cytatów mających potwierdzać tezę o mizogynizmie Markiza – po jakie sięgnął mój adwersarz – postponujących kobiety (zgodnie z duchem epoki) znaleźć można u Sade'a równie wiele jak postponujących mężczyzn (już nie w duchu epoki), zależnie od tego – w uproszczeniu – czy autorami wypowiedzi są mężczyźni, czy kobiety (dla przykładu: „zbrodniczość przeżarła cię do tego stopnia, że nie możesz już pieprzyć się z mężczyzną, nie pragnąc jego śmierci?” [*Histoire de Juliette*]). Poza tym to nieprawda, że funkcja edukacyjna u Sade'a przypisana jest wyłącznie mężczyznom: przypomnę, że pierwszą nauczycielką Julietty jest Delbène (a co jest rzadkością, powraca ona w późniejszych partiach powieści), potem zaś także Clairwil, i to one wygłaszają najwięcej (edukujących) rozpraw filozoficznych, żaden też z męskich bohaterów nie potrafi równie przenikliwe jak (pojawiająca się epizodycznie) Amelia oraz Borghèse uchwycić istoty libertynizmu Sade'a – tylko one za nic mają własne życie w konfrontacji z libertyńską konsekwencją, dlatego Amelia mówi: „Przysięgnij mi, że kiedyś i ja stanę się twoją ofiarą. Odkąd skończyłam piętnaście lat, moją głowę zaprzęta jedna myśl: paść ofiarą okrutnych namiętności libertynizmu” [*Histoire de Juliette*]. Nie tędy zatem droga do ustaleń co do mizogynizmu. Podkreślę tylko tyle, że nie jest mi znany żaden myśliciel oświeceniowy, który w równym stopniu co Markiz rewidykowałby kobietę, co zresztą nie jest wyłącznie moją opinią, o czym za chwilę.

Wymieniając całą gamę kobiet u Sade'a, chciałem zwrócić uwagę, że to raczej one (począwszy od Julietty – figury Pana *par excellence*, a na Justynie – figurze Niewolnika *par excellence* – skończywszy), nie zaś mężczyźni, są głównymi bohaterami dzieła Markiza. Sądziłem, że to czytelne. Ale widać nie dla wszystkich, bo mój adwersarz – może projektując własne oczekiwania – dopatrywał się tutaj oczekiwania na skok z ilości w jakość. Przy okazji zaś: nie sądzę, żeby – jak chce Jastrzębiec-Mosakowski – „karnawałowe odwrócenie ról” było „wyrównaniem szans

między kobietami i mężczyznami”, bo – po pierwsze – szanse kobiet u Sade’a nie są bynajmniej mniejsze (sądzę, że właśnie większe) – po drugie zaś – karnawał jako czas *sacrum* nie odwraca porządku *profanum* (tj. codzienności), lecz go zawiesza, uchyla, a uczestników odsyła do źródłowego, czyli niezróżnicowanego chaosu (*vide*: m. in. Caillois, Bataille, Bachtin, Eliade): nie ma tu zatem żadnych ról, a więc nie ma też co ulegać odwróceniu.

W kontekście zupełnie szczególnej roli i funkcji kobiety u Sade’a pozwolę sobie przypomnieć (już przywołane w mej polemice) słowa... Sollersa, utrzymującego, że dzieło Sade’a stanowi „ukoronowanie tego wielkiego projektu filozofii francuskiej (w żadnym innym języku niczego takiego nie ma), który polega na zajęciu się wywrotowym wychowaniem kobiet” (Ph. Sollers, *Sade dans le temps*, w: *idem, Sade contre l'Être Suprême précédé de Sade dans le temps*, Gallimard, Paris 1996, s. 39). Okazuje się jednak, że nawet ulubiony przez mego adwersarza Sollers – który zresztą, w jego opinii, lepiej zrozumiał Sade’a niż ja – nie jest dlań przekonujący. Chyba tylko dlatego, że potwierdza moje, a nie jego zdanie.

Co zaś się tyczy poglądów feministek, to np. A. Carter (autorka m. in. książki *Sadeian Woman*, London 1979), nie podziela zdania pewnie wygłaszanego przez Jastrzębca-Mosakowskiego. Aby zaś rzecz łatwiej było zweryfikować, przytoczę kilka uwag Carter z jej pracy przełożonej na język polski (*Pornografia w służbie kobiet*, „Literatura na Świecie” 1996, nr 6). Zdaniem tej wojującej feministki, mizogynizm Sade’a jest „skomplikowany” i Markiz ma „dwuznaczny stosunek do kobiet” (j. w., s. 133); jeszcze dalej zaś konstatuje ona: Sade „przerósł swoją epokę przyznając kobietom prawo do nieskrępowanej seksualności oraz dając im władzę w swoich wymyślonych światach, co wyróżnia go spośród wszystkich innych autorów pornografii na przestrzeni wieków i większości pisarzy swoich czasów” (j. w., s. 137), oraz odmitologizował „najbardziej uświęcone aspekty kobiecości”, tj. macierzyństwo (j. w.). Zresztą także przywołana przez mego adwersarza L. Frapier-Mazur (*Sade et l'écriture de l'orgie*, Paris 1991) nie twierdzi bynajmniej, iżby Sade był mizogynem. Jak więc się okazuje, nawet feministki widzą w Markizie swego (choćby częściowego) sojusznika. Czy zatem nie jest przesadna zbytnia pewność siebie Jastrzębca-Mosakowskiego, którego zdaniem – twierdząc coś przeciwnego niż on, gdy, jak

widać, jego twierdzenia nie mają żadnej gwarancji pewności – wręcz „podważam powagę” mego „badawczego warsztatu”? Rozumiem już zatem, jakie nowe miano przypisane zostaje kompetencji: „podważanie powagi badawczego warsztatu”. Jak go zwał, tak go zwał.

Poza tym zaś – wbrew przeświadczeniu mego adwersarza – żeby zabrać głos na temat rzekomego mizogynizmu Sade`a, nie muszę uzgadniać mej opinii z opinią feministek (pominąwszy fakt, że częściowo jest ona zgodna). Jestem najgłębiej przekonany, że mogę mieć własną. Chyba, że – niech mi wolno będzie strawestować jego słowa – odmawia mi on „prawa do głosu na tekstem Sade`a”.

W jednym wszak aspekcie muszę przyznać, że Jastrzębiec-Mosakowski faktycznie wspiał się na wyżyny..., tyle, że erystyki. Ażeby w toku wywodu od tezy, że Sade „ma co najmniej bardzo ambiwalentny do niego [Kościoła] stosunek” (Sade, który w zjadliwości i konsekwencji swej krytyki przewyższa w tej dziedzinie nawet takiego mistrza, jakim był określany mianem „geniusza nienawiści” Voltaire, podpisujący się „Ecrlińf” – *Écrasons l'infâme...*), dojść do twierdzenia, że „katolicyzm (...), przynajmniej w swej postaci cielesnej, jest (...) bliski barokowej zmysłowości i wyobraźni markiza”, trzeba najwyższych zdolności erystycznych. Rozumiem bowiem, że zdaniem mego adwersarza stosy, Inkwizycja, wojny religijne, polowania na czarownice, kara śmierci za sodomie itd., to tylko niewiele ważąca „litera” chrześcijaństwa, natomiast prawdziwego „ducha” tej formacji oddaje „barokowa zmysłowość”, a zarazem ekscesywny libertynizm kardynała de Bernisa. Obawiam się, że przenikliwość mego adwersarza uszedł fakt, iż w ten sposób można uzasadnić wszystko (i wszystko usprawiedliwić). Mniemam, że ponownie narażę się na zarzut niemieckiej mieszczańskości, ale – choć znacznie bardziej pociąga mnie arystokratyczna francuska lekkość (tyle, że – obawiam się – bardzo różnie obaj ją rozumiemy) – wolę mówić o faktach niż o „ duchach”. Nawet jeśli Sade (a może właśnie dlatego, że) dobrze znał tradycję patrystyczną, *Biblię*, a nawet sięgał po teologicznej proweniencji typ argumentacji (tzw. *refutatio*), to nie widział większego wroga człowieka niż religia – aby się o tym przekonać, wystarczy otworzyć dowolne jego dzieło na dowolnej stronie. Cóż, już jednak Hegel mawiał, że „jeśli fakty świadczą przeciwko nam, to tym gorzej dla... faktów”.

Jeszcze jedna kwestia naprawdę poważnie mnie zastanowiła, jeśli nie wręcz zdumiała. Mój adwersarz bowiem twierdzi, że wypowiadam się na temat Sade`a „na podstawie prywatnej lektury”. Czyżby zatem sam odbył jakąś lekturę społeczną lub może wręcz absolutną? Jakoś ciężkavo – by nie rzec z niemiecka – brzmią tego rodzaju słowa. I zdumiewająco, bo jak na kogoś, kto deklaruje, że Sade`a „zna gorzej” niż Sollersa i że „podszył się pod specjalistę w dziedzinie zwanej przez [siebie] «sadystryką»”, mój adwersarz ze zbytnią pewnością na temat tegoż Sade`a wydaje sądy, np.: „jednoznaczne uznanie Sade`a za mizogyna”, „miejsce kobiet jest wskazane raczej jednoznacznie”, „jak wyobraża go [mityczny stwór: *androgyn*] sobie Sade, doskonale wiadomo”, „sprawa mizogynizmu Sade`a jest w istocie jednoznaczna”. Zanim będzie się wydawać sądy (a już zwłaszcza sądy apodyktyczne), warto może wykonać *encore une effort* i bliżej się zapoznać z przedmiotem tychże sądów.

Tymczasem ze słów Jastrzębca-Mosakowskiego bije jednak niewzruszoną pewnością. Bo on po prostu wie. A ja boję się tych, którzy po prostu wiedzą, bo prędzej czy później będą wiedzieć lepiej niż ja, co dla mnie dobre i co powinienem. Ze swej strony chciałbym wierzyć, że nie czynię nic innego, jak tylko oddaję się wnikliwej lekturze Sade`a i stawiam pewne (mam nadzieję, naukowo uzasadnione) tezy. I czyja postawa jest tu – że raz jeszcze zacytuję słowa mego adwersarza – „niebezpieczna”?

Na zakończenie pozwolę sobie podkreślić, że nie jest moją intencją przekonywanie Jastrzębca-Mosakowskiego, ani zresztą kogokolwiek innego, do mojej wizji Sade`a. W ogóle uznaję, że to kwestia osobistych preferencji i bliskości własnego sposobu myślenia ze sposobem myślenia dostrzeżonym w trakcie takich czy innych lektur. Niemniej w tonie nieco arystokratycznym powiedziałbym za Markizem, że „zwracam się tylko do tych, którzy mogą mnie zrozumieć, a ci czytać mnie mogą bezkarnie” [*Francuzi, jeszcze jeden wysiłek...*]. Jest natomiast moją intencją przybliżanie czytelnikowi Sade`a i, w miarę moich skromnych możliwości, usiłowanie wyjaśniania ogromu nieporozumień związanych z jego nazwiskiem.

Jeśli zaś mój adwersarz, lub ktokolwiek inny, uzna, że także (także, bo w mojej opinii stało się tak – niestety – w przypadku odpowiedzi Jastrzębca-Mosakowskiego) poczynione przeze mnie uwagi naruszają nieodzowny we wszelkich dyskusjach *le bon ton*, to niech me drobne złośliwości oraz nutę ironii złoży na karb ferworu

polemicznego (w języku mniej wyszukanym mówi się „odpłacić pięknym za nadobne”) i z góry przyjmie me przeprosiny. Z całym szacunkiem...